

e - b o o k

C.K. DEZERTERZY

Kazimierz Sejda



e - b o o k

KAZIMIERZ SEJDA

C.K. DEZERTERY

agoy.pl

Warszawa 2012

ISBN 978-83-63596-58-3

Copyright © Spadkobiercy Kazimierza Sejdy

Copyright © for this edition by AGOY.PL

Spis treści

OD AUTORA	4
POLITYCZNIE PODEJRZANY	8
SWÓJ MIĘDZY SWYMI	22
LEKCJE CESARSKO-KRÓLEWSKIEGO PATRIOTYZMU	26
NOCNE ALARMY PANA OBERLEJTNANTA	35
HYMN LUDÓW.....	44
SAMOBÓJSTWO OBERLEJTNANTA	57
NOWY OBERLEJTNANT.....	60
W OBOZIE JEŃCÓW WŁOSKICH	69
OBERLEJTNANT I ORDYNANS	73
POSKROMIENIE CESARSKO-KRÓLEWSKIEGO PATRIOTY	93
ŚLEDZTWO	98
INSPEKCJA.....	108
W KOSZYCACH	158
PODRÓŻ.....	180
W BUDAPESZCIE	199
DO GRAZU	224
KATASTROFA	232
PROMOCJA NA WETERYNARZY	273
STACJA ZABŁĄKANYCH DUSZ.....	298

OD AUTORA

Położenie tak zwanych państw centralnych nie przedstawiało się z końcem roku 1917 zbyt różowo. Starej monarchii groziła zagłada, coraz bliższa i nieuchronna.

Naczelne dowództwo miało się w bezcelowych paroksyzmach, zmierzających do znalezienia środka ratunku, którego, z wyjątkiem kilku generałów, nikt się nie spodziewał.

W tym to czasie znalazł się w Austrii mąż opatrnościowy, który, pragnąc uratować zapadającą się w otchłań klęski ojczyznę, wpadł na genialny pomysł, mogący, według jego mniemania, wywrzeć decydujący wpływ na losy monarchii.

Pomysł ten był nieskomplikowany, jak nieskomplikowany był jego autor, pan komendant *Ergänzungsbezirkskommando*, czyli po polsku PKU.

Ponieważ dwanaście ofensyw nad Isonzò, Piawą i Tagliamento, w których brało udział kilka wyborowych korpusów, nie mogło przełamać oporu zaciekle broniących się Włochów, wzmiankowany pan komendant uznał, że opór ten przełamać może skutecznie tylko jeden człowiek.

Ja.

Jesienią roku 1917 otrzymałem lakoniczne wezwanie, opatrzone klasyczną cesarsko-królewską pieczęcią, abym się stawiał przed komisją poborową z powodu ukończenia lat 18, a więc wieku, w którym wierny poddany ma prawo do zbierania laurów pod czarno-żółtym sztandarem.

Wezwanie do zaszczytnej służby przyjąłem bez zbytniego entuzjazmu.

Po pierwsze – byłem członkiem pewnej konspiracyjnej organizacji niepodległościowej i miałem z tej racji dosyć roboty w kraju, a po wtóre – nie żywiłem żadnych wrogich zamiarów wobec Ententy.

Moje dotychczasowe stosunki z J.K.M., królem Włoch, były bardzo poprawne i nic nie mąciło panującej między nami od tylu lat harmonii. Nie miałem żadnych

pretensji ani do cesarza japońskiego, ani do prezydenta Francji, jeżeli zaś chodzi o króla angielskiego, to miałem dla niego wiele sympatii wynikającej ze wspólnych upodobań: obaj zbieraliśmy znaczki pocztowe.

Nic też dziwnego, że perspektywa wystąpienia przeciwko nim z bronią w rękę bynajmniej mi się nie uśmiechała.

Problem był bardzo przykry i starałem się rozwiązać go przede wszystkim w sposób ogólnie w owym czasie praktykowany. Pewien specjalista „uwalniacz” skierował mnie do drugiego specjalisty, który za opłatą trzystu koron przyprawił mnie na kilka dni przed komisją poborową o skomplikowany artretyzm, połączony z opuchnięciem stawów, co mi jednak niewiele pomogło. Wy tłumaczył mi mój błąd przewodniczący komisji poborowej, sklerotyczny pułkownik, w sposób bardzo lapidarny i bezapelacyjny:

– Ile macie lat? Osiemnaście? Na pewno przejdzie! W waszym wieku miałem to samo i nic. Zdrow jestem jak byk!

Z rozmów, jakie następnie przeprowadziłem w ubieralni, wynikało, że pan pułkownik był swego rodzaju fenomenem: chorował na wszystkie te choroby, na które uskarżali się poborowi i zawsze był zdrow jak byk.

Kiedy próbowałem wyrazić wątpliwość, czy na opuchniętych nogach będę mógł wędrować po włoskich górach, pan pułkownik najeżył się i zamknął dyskusję krótko:

– *Feldwebel! Schmeissen sie diese freche polnische Schweinsfratze raus, dass er die Zähne verliert!* (Sierzancie! Wyrzućcie ten beczelny polski ryj tak, żeby zęby pogubił!).

Mnie wyrzucono za drzwi, a ja trzysta koron w błoto.

Poszedłem więc do wojska.

Po krótkim wyszkoleniu w kadrze pewnego galicyjskiego pułku piechoty zostałem wysłany na front włoski. Kółka POW, złożone z byłych legionistów wszystkich brygad, którzy zostali wcieleni do oddziałów austriackich, działały sprawnie i sprężysto. Po kilku dniach pobytu na froncie zostałem doskonale

poinformowany o tym, w jaki sposób mam się dostać do Santa Maria di Vettore Capua, gdzie tworzą się oddziały polskie.

Na sposobność czekałem niedługo.

W jednym zwariowanym ataku pod Udine pragnąłem, wraz z dwoma towarzyszami, za wszelką cenę dostać się do hańbiącej niewoli. Niestety, spotkał nas zawód. Reduta, do której pędziliśmy jak szaleni, została jeszcze w nocy opuszczona przez Włochów, którzy pozostawili w niej tylko kilku zabitych. Nie było ani jednego bodaj ciężko rannego, który by nas mógł wziąć do niewoli. A byliśmy gotowi nieść nawet takiego na rękach, byleby nas tylko „chwycił”.

Bohaterstwo nasze zostało zauważone i przyniosło nam „małe srebrne medale waleczności”.

Medale te pogłębiły tylko panujące między mną a moim cesarzem nieporozumienie. Byłem młody, hardy i zarozumiały. Kilka razy w prywatnych pogawędkach, podczas służbowego bicia wszy w rowie łącznikowym, wyraziłem swoje poglądy na wynik wojny i poglądy te tak dalece zainteresowały *K-stelle* (*Kundschaftsstelle* – Oddział II dowództwa austriackiego), że papiery moje opatrzone dyskretnym stempelem „P. V.”, co oznaczało: *Politisch Verdächtig* (politycznie podejrzany). Zostałem wycofany z frontu i rozpocząłem bujny okres służby etapowej.

Pilnowałem więc jeńców włoskich rozmieszczonych w obozach nad Sawą i Driną, konwojowałem transporty wojskowe idące z Austrii na Ukrainę, do Rumunii i na Bałkany. Wozilem amunicję artyleryjską do portów Morza Czarnego; konwojowałem również wagony napełnione darami, tzw. *Liebesgaben*, dla armii niemieckiej walczącej w Syrii. Jeździłem koleją, tłukłem się podwodami zaprzężonymi w konie, woły i muły; wspinałem się na pasma górskie Alp Południowych, góry Gorycji i Trydentu; z Alp Transylwańskich zjeżdżałem w nizinę Dunaju, którego wody nieraz mnie niosły, jak wody Sawy i Maricy. Nasiąkałem wrażeniami jak gąbka, chłonałem je chciwie, nie mogłem nasycić zawsze głodnych uszu i oczu. W nozdrzach mam jeszcze zapach ogrodów różanych Macedonii, puszt węgierskich i stepów ukraińskich, a w ustach smak wina włoskiego, węgierskiego i

rumuńskiego, które piłem w małych zajazdach na rozstajach dróg – szlakach mojej włości.

Kląłem wszystkimi narzeczanymi używanymi przez narody i plemiona zamieszkujące przestrzeń Europy od Morza Czarnego do Adriatyku, a umiejętnością tą w krótkim czasie potrafiłem zadziwić nawet autochtonów.

Barwne to było życie i radowało mnie, albowiem „młode było serce moje”.

Z końcem lata 1918 roku przeniesiono mnie na Węgry, do pewnego oddziału wartowniczego w zapadłej mieścinie, gdzie spotkałem pokrewne mi dusze.

Dotychczasowa służba nauczyła mnie ryzyka i przełożeń z miejsca oceniali mnie właściwie. Nazywano mnie zdrajcą, zakałą wojska, podżegaczem i parszywą owcą. W obawie przed demoralizacją towarzyszy starano się zawsze trzymać mnie od nich z dala i wysyłano na różne kursy, z których wracałem po kilku dniach z opinią idioty i kretyna, czym wprowadzałem w osłupienie mego dowódcę, który miał o mnie mniemanie biegunowo przeciwne.

Miarka się wreszcie przebrała i pewnej nocy obudziłem się w areszcie, nękany natrętną wizją szubienicy; złamałem więc narzuconą mi przysięgę i wraz z kilkoma towarzyszami pożegnałem się ostatecznie ze swą kompanią.

Na tle mej służby i dezercji powstała właśnie ta opowieść, która w lwiej części jest aż nadto prawdziwa. Trochę tylko przetasowałem czasy, ludzi i miejsca i powiązałem fakty w jedną całość.

POLITYCZNIE PODEJRZANY

– Sátoralja-Ujhély! – wpadło wraz z silnym podmuchem wichru w otwarte gwałtownie drzwi przedziału, słabo oświetlonego łojówką.

Leżąca na ławce postać w szarym płaszczu żołnierskim poruszyła się.

– Czego?

– *Aussteigen* (Wysiadać), żołnierzyku, twoja stacja.

Żołnierz zerwał się szybko, chwycił z półki dobrze wypchany plecak, w drugą rękę ujął zawieszony na haku karabin, i wyskoczył z wagonu.

Przez chwilę stał i rozglądał się. Szalejąca zamieć śnieżna ogarniała wszystko gęstym, gwizdzącym, białym tumanem, przez który, jak zza mgły, błyskały światła stacyjne.

Zmyślnie odwracając głowę od ataków wiatru, wszedł na peron, zajrzał przez okno do zatłoczonej żołnierstwem poczekalni III klasy, po czym wkroczył do wnętrza. Buchnęło nań ciepłe powietrze zmieszane ze specyficznym w żołnierskim tłumie zapachem skóry i potu.

Rozejrzał się, znalazł miejsce na ławie pod ścianą, złożył plecak i karabin, potem opuścił kołnierz płaszcza, odwinął szalik i podszedł do bufetu.

– Dajno, panienko, coś gorącego do wypicia.

Czarnowłosa kobieta w średnim wieku popatrzyła na niego zamglonym wzrokiem i pokręciła głową.

– *Nem tudom* (Nie rozumiem).

– No to po co tu siedzisz?

Niewiasta wzruszyła ramionami i flegmatycznie czyściła dalej noże.

Stojący przy bufecie landszturmista z czarno-żółtą opaską na ramieniu, na której widniały inicjały Feldpolizei, odstawił szklankę piwa.

– Ona jest nowa i nie nauczyła się jeszcze mówić po niemiecku. Zwróć się, kolego, do tej młodej, przy samowarze.

– *Was wünschen sie, Herr Gefreiter* (Co pan sobie życzy, panie frajter) – zapytała fertyczna bufetowa.

– Szklankę gorącej herbaty i coś dobrego do zjedzenia, panienko.

– Mamy świeże parówki, ile?

– Te parówki są końskie czy ośle?

Bufetowa pokazała wszystkie zęby.

– Prawdziwe wieprzowe, panie frajter! My tu, na Węgrzech, jeszcze koni nie jadamy.

– Z ręką na sercu?

– Z ręką na sercu. – Bufetowa położyła dłoń na rozdygotanym ze śmiechu biuscie. – Zaraz widać, że pan z głodnego kraju przyjechał.

– Nie wierzę. Położyła pani rękę na prawym sercu – rzekł z powagą frajter.

– Więc kładę na lewym... wierzy pan teraz?

– Teraz wierzę i wobec tego zamawiam, młoda osobo, cztery pary z chrzanem. A zanim się zagrzeją, wypiję herbatę.

Łykając gorącą herbatę, ścigał oczyma bufetową.

Po kilku minutach postawiła przed nim dymiącą salaterkę z parówkami.

Frajter wyjął z kieszeni portfel i położył banknot dziesięciokoronowy na ladzie.

– Płacę! A jeśli po tych parówkach coś złego mnie spotka, odziedziczy pani po mnie karabin i bagnet. Resztę odeśle pani do Lwowa.

– Pan Polak?

– Polak, królowo.

Bufetowa wydała mu resztę i oparła się łokciami o bufet.